Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 22 Siérpnia Nᴱᴿ 33. 1838 Roku.

NIDA.

PODANIE GMINNE.

Istniałem przed wieki, lecz imie moje
Poźniéj mi piękna nadała dziewica.
S.

I.

Piérwsze wiosny słońce oświéciło piękną i rozległą dolinę. Do koła obszary niwne szybką przeznięte rzéką, maiły się pięknemi nadziei kolory, a nizkie chaty w różnym stawione kierunku, wydawały się zdala, jak wzgórki ziemi pracą kreta na wiérzch wydobyte. Były one tak proste i nędzne, jak życie ich biédnych, lecz spokojnych miészkańców, jak byt pracowitych rybaków, rolników i pastérzy, którzy w nich dni swe pędzili, Jeszcze zbytki i występki oświéconego świata nie-doszły do skromnego zakątku, gdzie czasem tylko zbłąkany, śmiały rycérz, znużony wędrowiec, lub gorliwy wiary świętéj sługa, przyniosł spokojnym miészkańcom wieść jaką o reście obcéj dla nich ziemi. Swieżo wprowadzonéj do Polski świętéj wiary światło, posłało i tam promień łaski i zbawienia. Lud ten prosty i poczciwy słuchał pilnie słów i nauki, która im obiecywała opiekę wyższą nad ludzi, a na tamtéj stronie grobu szczęście wieczne, jakiego oni tutaj nawet w marzeniach nie znali. Szczątki dawnych zabobonnych przesądów pozostałe śród światła prawdziwéj wiary, były one, jak lekkie chmurne obłoki, co po dészczu czasami jeszcze gdzie niegdzie czysty błękit nieba zasłaniają; nieznaczne i nieszkodliwe mijały tak szybko jak i obłoki, spędzane wiatru powiéwem; bo w tych duszach prostych i niezepsutych, żadne ziarno złego w nieuprawne nie upadło pole. Dni ich, ciągłéj poświęcone pracy, spływały zwolna śród zatrudnienia i znojów, nie rodząc w ich sercach ni spomnień, ni przyszłości; kochając rodzinę swoję, każdy pracował na jéj wyżywienie, nie znając co troski

o przyszłą jéj dolę. Taż sama rzéka, też same zostawały niwy, taki był zakrés i myśli i dążeń każdego, mały wprawdzie dla tego, co poznał i użył więcéj, lecz wystarczający dla skromnego rybaka lub pastérza, który świat swój cały zamknął w tym szczupłym obrębie.

Ta rzéka, żyzne skrapiająca pola, była dla nich niejako bożyszczem złego i dobrego; w prostocie swéj niewinnéj oddawali jéj prawie cześć boską. Nie raz rozhukane wody zabrały biédną chatkę, lub plony potém okryte zniszczyły, to znów zwilgniona ziemia obfitémi zbiory pracę poczciwego nagrodziła rolnika; obawa lub wdzięczność prowadziły więc miészkańców na wybrzeża wody, z dziękami lub wyrzekaniem na żywioł, któremu oni zysk lub stratę przypisywali.

Tam ogrzani dobroczynném światłem piérwszych wiosny promieni, dwaj rybacy zarzucali wędki swoje w srébrzyste nurty ojczystéj swéj rzéki. Obaj wyszli już po za wiek średni człowieka, s przypruszonémi głowy lekkim starości szronem, schyleni pracą i znojem, lecz czérstwi prostotą życia i czystością obyczajów, długo siedząc obok siebie w milczeniu, całą myśli uwagę wpuścili w szczupły obręb fal kilku, kędy nurzały się ich wędki. Nareście jeden z nich wspólne przerwał milczenie: — »Źle idzie, bracie; nie życzliwe nam dzisiaj wody, moja wędka jeszcze ani jednéj nie złapała płotki.» — «Ani moja Tomaszu, może dary nasze za małe; biéda, oj biéda! u mnie ostatni połów już spożyty, a dziś widzę s próżnémi trzeba wrócić rękoma.» — »Nie turbujcie się Wojciechu, może jeszcze łaskawszémi pokażą nam się wody; oj gdyby tu tylko przyszła Nida, wnetby się wędy nasze napełniły rybami.» — «Dobrze mówicie bracie, ona jest oblubienicą téj rzéki, i zdaje się nawet, jakoby wody były jéj rozkazom posłuszne. Pamiętacie sąsiedzie,» mówił daléj rybak po chwili namysłu, «pamiętacież, jak w dzién urodzenia téj dziéwki wody wystąpiły wysoko i strasznie, bałwany szumiały jak grzmoty gdy chmurno, i wznosiły się jak węże, gdy się rzucają na zdobycz. Strach ogarnął wszystkich, kobiéty i dzieci płakały, a my żałowaliśmy gorzko dobytku naszego i naszych chatek, które zabiérały bez litości fale rozgniéwane. Domostwo

Ziemowita już już miało być porwane przez wody, bałwany wciskały się do izby, kędy właśnie przyszła na świat Nida; aż oto, patrzcie sąsiedzie, jak tylko ujrzały to dziécię, zdawało się, że na widok jego zatrzymały się nagle i wnet cofać się zaczęły i wracać do swego łożyska. Wkrótce woda opadła, a na brzegach tyle zostawiła drzewa i słomy, żeśmy odbudować mogli nasze miészkania bez szkody. Odtąd zawsze rzéka ta szanowała Ziemowita chatkę, zawsze pola jego najżyźniéjszy plon wydają; a gdy zarzuci swą wędę, to jéj sam na brzég wyciągnąć nié może.» — «Pamiętam ja, pamiętam ten dziéń sąsiedzie, wszakci jam zaraz mówił, że wody dla tego wystąpiły, by dójść do domostwa Ziemowita i obaczyć to dziécię, które sobie za swoje przyznać chciały; jakoż mają one cóś spólnego s tą dziéwką, ona nie boi się ich wcale i najbardziéj lubi siedziéć nad ich brzegami. A w roku zeszłym, nie zapomnieliście przecież Wojciechu, jak kilka dziewczyn naszych kąpało się wraz z Nidą, w tém przyszedł dészcz, ulewa ogromna, one ze strachu puściły się na głębinę i same nie wiedziały co robić. Nida jednak nie zlękła się wcale, kazała się towarzyszkom uchwycić swego ubrania i tak szczęśliwie wyprowadziła je na brzég.» — «Nię inaczéj Tomaszu; pamiętam ja i ten i wiele innych jeszcze wypadków, w których zawsze widziéć można znajomość Nidy, i że tak rzekę, pokrewieństwo jéj z naszémi wodami. A potém już tylko spójrzéć na nią, to się zaraz widzi, że to cóś innego jak wszystkie dziéwki nasze; i one są dziarskie i hoże, ale ta Nida jest tak piękna, ma tak cóś różnego od nich, że ja sam stary, ja sam, mówię wam mój bracie, nie raz żałuję, że nie jestem młody i gładki, by ja pojąć za żonę.» — «Oj co się téżto wam zachciwa Wojciechu, taćto ona marzy zawsze o jakichsić tam rycérzach; moja Marychna, co czasem z nią razem popędza owce do wody, mówi, że Nida opowiadała jéj raz o jakimsić rycérzu, co jéj się przyśnił w noc rocznicy jéj urodzenia. I wystawcie sobie sąsiedzie, jakie marzenie szczególne: zdało się jéj, jakoby rycérz jakiś wyszedł z wód rzéki naszéj i na dzielnym koniu jednym skokiem był już u jéj miészkania, i mówiła długo

o nim, jak był gładki i dorodny, i jak błyszczała na nim zbroja, a on podał jéj rękę i niby prowadził ją gdzieś z domu ojca, w tém przyszła czarna chmura, rycérz się gdzieś podział, ciemność zupełna ogarnęła ją nagle i ujrzała się nad brzegiem rzéki, biegnąc ciągle w téj ciemnicy i niby w tym biegu uczuła, jak raptem w dół gdzieś leciała.» — »Ej, dajcie pokój tym snom mój bracie; zwyczajne to młode, myśli to o zbrojach, o rycérzach, o których nie raz słyszy od starego Ziemowita, ale jak nie będzie widać rycérza, to przyjmie rybaka ze swojéj wioski, a mój Rustanek, nie tęgiżto chłopak, ledwo sarny nie wyścignie, a bystrego orła w lot strzałą zabije. Podoba mu się ta dziéwczyna, i nie raz mi mówił, że jak jéj nie otrzyma, to innéj szukać nie chce, a czegóż jemu nie dostaje?» — «Oto idzie Nida,« przerwał mówiącemu towarzysz i obaj zwrócili oczy na biegnącą ku nim dziewicę.

Szybkim krokiem, tykając ledwo ziemi, szła piękna Nida, wysmukła i chyża jak łania borów ojczystych; w białą przybrana szatę, dwa sploty ciemnych włosów w tył zarzucone, a na młodocianéj twarzy ośmnasta wiosna życia szczęśliwego rozlała wszystkie wdzięki, w które śmiertelnym stroić się wolno. Łagodna jak baranek, którego pielęgnowała białą dłonią w rodzinnéj zagrodzie, skromna jak fijołek, co go wraz z wiosną, między trawką w rodzinnym szukała ogródku, była lubą wszystkim, co ją otaczali, lubą jak nadzieja miészkańcom téj ziemi. Patrząc na anielską dziewicę w tém zakątném siole, zdało się, że zbłąkany aniołek zszedł s cicha w te światy, tyle było nieba w jéj błękitnych oczach, tyle nieziemskości w jéj boskich spójrzeniach. A gdy przyszła do patrzących na nią rybaków i pozdrowiła wdzięcznie, obaj spójrzeli na siebie, a potém na nurty, co szumnie płynęły i zdawali się mówić w myśli: To nie ziemska istota.

»Jakże wam idzie połów sąsiedzi?» zapytała dziewica. — »Oj źle Nido, źle jak dotąd; ale teraz musi pójść lepiéj, kiedyś ty tutaj przyszła; powiédz co tym zuchwałym wodom, niech nam dadzą dzisiaj co zyskać.«

I Nida usiadła na brzegu rzéki i wziąwszy wędkę z rąk rybaka, zanurzyła ją sama w szumiącéj s cicha fali: «Może ręka moja

szczęśliwsza niż wasza, mój ojcze!» rzekła i wkrótce potém z lekka zatrzęsły się wędki i trzepiace się rybki na brzég wyciągnięte zostały. Szczérze dziękowali rybacy hożéj dziewicy za jéj skuteczne wstawienie się, a ona nie słuchając słów wdzięczności, szybko uciekała w swą stronę. Kilka małych rybek rzucono do wody, na podziękowanie dobroczynnéj rzéce, a resztę zabrano do chatek, by skromny zasiłek sporządzić.

II.

Brzask jutrzenki pozłocił skromnéj chaty szybkę. Już tam powstali skrzętni miészkańcy i tak radośnie i ochoczo dziénną pracę poczęli, jak był wesołym piérwszy słońca promiéń, co zadrżał na ścianie szczęsnego zakątku. W dużéj izbie, mizernie, lecz chędogo zaopatrzonéj w sprzęty, krasna dziewica skromny zastawiła posiłek: chléb z własnego upieczony ziarna, masło i mléko od własnych dostarczone krówek, a przy stole sędziwi rodzice i nadzieja i pociecha ich życia jedyna ich zasiadła córka. I nie było w tych sercach prostych żadnego życzenia, ni chęci, ni żadnéj troski, ni obawy w téj chwili rodzinnéj biesiady, gdzie świat ich cały, szczupły i obrębny, lecz dostatni dla nich, był z nimi i przy nich. W drugiéj izbie, przez drzwi uchylone, widać było niekształtny obraz Matki Chrystusa, trzymającéj na ręku maléńkiego Zbawiciela, a daléj krzyż święty, prosto wyrobiony, i obok niego łuk ze strzałami, miecz i zbroję żelazną, jakiéj w ów czas używali wojownicy. Widać było s tych znaków, że sędziwy starzec nie zawsze równie spokojnie, jak dzisiaj, spożywał chléb swój rodzinny, że spomnienie przeszłości miało dla niego cóś więcéj, niż gonienie w borach blizkich za szybkim zwiérzem lub uprawę żyznego zagonu i nadzieję obfitego zbioru. Sędziwy Ziemowit w piérwszéj młodości swojéj opuścił zagrody ojców i obok króla swego walczył mężnie na polu sławy; poźniéj wrócił do spokojnéj siedziby, nie żałując ni blasku, ni świetności, które tam widział, szczęśliwy w wyborze towarzyszki, szczęśliwy w kochanéj swéj Nidzie. Nieba błogosławiły Ziemowita życzeniom i pracy, bogate były plony w polach jego i liczne stada ponadbrzeżne okrywały niwy, i jedynaczka jego nad inne wdziękiem i cnotą jaśniała,

i swoboda i spokój w cichym jego zamiészkały domku. A sąsiedzi jego, widząc w tém wszystkiém wyższéj władzy wolą, znaleźli w Ziemowita szczęściu cóś więcéj nad ludzką pomyślność i użyczyli mu cząstki nadziemskiego światła. Był on dla nich sędzią w niewielkich sporach, pojednawcą w krótkich zwaśnieniach. Błogosławieństwo jego było konieczne dla każdéj nowo zaślubionéj pary, dla każdego nowo przybyłego członka do towarzyskiego ich ciała. Wszyscy kochali go i szanowali, jak spólnego ojca, a piękną córkę jego, jak miłego i dobroczynnego anioła.

Gdy skromny spożyto zasiłek, Nida wygnała na zielone niwy białe stado ojca swego. Różnobarwne kwiaty wiosny drżały pod kroplami rosy, a depcąc je Nida, zbiérała piękniéjsze dla siebie. To tutaj, to znów tam zerwała kwiateczek, któremu dała piérwszeństwo nad mniéj ładną bracią, a lekka i wesoła jak pląsające obok niéj baranki, to pogoniła za szybkim motylkiem, to znów uszczknione kwiaty w piękne wianki zaplatała.

W oddali po za drzewem stał młody wieśniak na łuku swym wsparty, zdawał się gonić myślą i ścigać oczyma te miejsca, kędy Nida radośnie biegała, lecz nie za kwiaty, nie za motylami puścił młodzian swe spójrzenia, dziewicę one tylko goniły, bo i w tych miejscach prostoty, tkliwe uczucie ozwało się w sercu jego. I był smutek w męzkich myśliwca rysach, a myśl niezrozumiała, rodziła jakieś obrazy snów i rycérza, o czém wczoraj przy wieczerzy usłyszał Rustan z ust ojca swojego. Bo dawno już młodzian marzył życia towarzyszkę w pięknéj i hożéj dziewicy. Widział ją siedzącą obok siebie, podającą chłodny napój znużonemu dzienną pracą, lub wybiégającą s chaty, by powitać po znojach i gonitwie za zwiérzem. I teraz patrząc na piękną dziewoję i malując na tle myśli te świetne nadziei obrazy, jakaś trwoga mimowolna męzkie rysy zachmurzała, i marszczył brwi czarne, pomnąc, że tyle wdzięków senne zjawiska wydrzéćby mu były w stanie.

W tém szybko przybiegła Nida do drzewa kędy stał młodzieniec, i prędko zajrzała po za drzewo, i smutek jakiś po jéj anielskiém przeleciał obliczu: «To

ty Rustanie?» rzekła do niego, » wybacz, ja nie ciebie tutaj szukałam; zdało mi się, lecz ja sama nie wiém, co mi się zdało... oj! to te sny, te sny;» mówiła daléj, potrząsając z lekka głową, i uciekła chyżo, jakby od własnych uciéc chciała myśli. Patrzał za nią Rustan, potrząsł także smętnie głową i zwolna się oddalał, powtarzając także: » Oj te sny, te sny! «

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)

WIANEK PRZYJAŹNI.

Chodźmy, Janie, na to wzgórze,
I usiądźmy tu, pod brzozą.
Płynie jesień w mglistéj chmurze,
Goniec zimy gwiżdże łozą;
A tam! na wiérzchołku drzewa
Skielet wianuszka powiéwa.
Czy pamiętasz ten spoczynek,
Gdy go nasze plotły dłonie,
I zawiesiły w téj stronie
Przyjaźni na upominek?
Czy pamiętasz jego farby
Przy letniego słońca blasku?
Jak zmięszane światła skarby
W czarodziejskim tęczy pasku,
Tak płonęły jego farby;
A dziś, patrz, jak trupie lica,
Taka zimna, taka blada,
Niebieska jasność przyświéca,
Na szczérniały wianek pada.
Uważ, uważ co się dzieje
S pięknym przyjaciół wianuszkiem!...

Kiedy nad śmiertelném łóżkiem
Światło gromnic zajaśnieje;
Kiedy śmierci Anioł niemy
Zamgli źrenicę chorego,
W milczących twarzach niesiémy
Smutki ostatnie — dla niego.
Jak tam wyraźnie czujemy
Po bolesném serca biciu,
Że ubywa węzła życiu,
Pękają ziemi ogniwa,
Łańcuch bytu się rozrywa.
Czucia ten łańcuch składają,
Gdy się mnożą, rośnie życie,
Psuje się, umniéjsza skrycie
Kiedy czucia przemijają.

Po co tak smutne marzenie?
Rzućmy je; tutaj nasz wzgórek,
Tu nasze zblakłe zielenie!
Niechaj z błędnym lotem chmurek
Po przeszłości myśl ulata;
Niechaj pobuja w swobodzie,
Pamiątką szczęścia bogata;
Jak to skrzydełko motyle,
Ręką wiosny malowane,
Dzisiaj wiatrami tarzane,
Krąży, igra jakąś chwilę
Po tumanach i po chłodzie.
Niechaj igra, a my siądźmy,
Jeszcze łzy szczęścia dobądźmy,
Niechaj łzy szczęścia promiéniem
Cień zasępienia umilę.
Kiedy nam losów niestałość
Gotuje w przyszłości żałość
Posilajmy się spomnieniem.

Ćmi się brzoza mgłą obwiana,
Jakby kirową zasłoną;
Jak źrenica zapłakana
Zimną rosą listki płoną,
I z wiatrami złośliwémi
Rozlatują się po ziemi.

W podobnych łzach i żałobie
Widziałem oblubienicę:
Po utracie oblubieńca,
Na niedawnym jego grobie,
Zasiéwała okolicę
Listkami ślubnego wieńca.
Jak tam boleśnie po oku
W płacz się rozlał śmiéch wesela!...
Ja korzystałem z widoku,
A ty!... słuchaj przyjaciela.
Używajmy chwil co płyną,
Używajmy nim przepłyną.
Jutro, w godzinę, w minutę
Może nie być jak w téj dobie;
Jutro, w godzinę, w minutę,
Zszedłszy się jak za pokutę,
Możem być nieznośni sobie.
Możem zimno ścisnąć siebie,
Obojętnie się przywitać;
Możem o siebie nie spytać.
Gdy więc przyjdzie, że dla ciebie
Dłoń ta będzie bez płomienia,
Bez duszy moje spójrzenia,
Bez spółczucia moje słowa;
Niech się przynajmniéj wychowa
Pamięć tego posiedzenia;
Ah! nie niszcz jego spomnienia!

—ooooooo—

POCZESNE.

Gdy sir Jérzy Walton na okręcie admiralskim stał przed Spithead w Portsmouth, pewien szlachcic z okolicy tamecznéj, przysłał mu przez swego gajowego półkozła w podarunku. Sir Jérzy kazał pięknie podziękować z swéj strony; tymczasem gajowy rzekł do stérnika okrętu, że się i on komplementu (poczesnego) spodziéwa. Gdy o tém doniesiono admirałowi, któremu więcéj o piéniądze, niźli o proch chodziło, rzekł do stérnika: «Czy tak, i on także żąda komplementu? Powiédzże kapitanowi, aby tego człowieka, gdy okręt opuści, pięcią z dział wystrzałami ukomplementował.»

Anegdota.

Trzech młodzików modnie ubranych i w eleganckiéj postawie stało na placu w Bruxelii, którędy właśnie processya przechodziła. Gdy baldachin się zbliżał nie zdjęli kapeluszów i stali ciągle z zuchwałą miną i uśmiéchem szyderstwa. Na znak księdza, ażeby odkryli głowy, zawołali: »Mości proboszczu, jesteśmy filozofowie!» — «Nie moi panowie,« odrzekł proboszcz z największą spokojnością; «znam was, wy jesteście krawcy!» — Na tę niespodziéwaną odpowiédź tak zwani filozofowie jak zmyci odeszli.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.